N° 3.

Biuro Redakcji przy, ulicy Solnej Nr. 715 w Warszawie.

Prenumeratorowie stali **Opiekuna Domowego,** — nadsyłający prenumeratę wprost do Redakcji, otrzymują w dodatku **Czytelnię Domową,** zawierającą w sobie wybór powieści, romansów, dramatów i tym podobnych dzieł treści belletrystycznej.



Warszawa, dnia 9 (21) Stycznia 1871 roku.

ROK

Serja Druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11 1/4, oraz za opakowanie i ekspedycję kop 33 3/4). **Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda Hösicka, Ulica Senatorska Nr. 496, w *Poznaniu* u **Leitgebera,** — *we Lwowie* u **Wilda Karola,** *w Żytomierzu u* **Budkiewicza** księgarza.

SŁÓWKO O CZYSTOŚCI MOWY.

Od lat niewielu, zwłaszcza odkąd peryodyczne piśmiennictwo się wzmogło, język nasz tak się skaził, iż dziś prawie nie sposób, a przynajmniéj nie bardzo łatwo, z takim autorem się spotkać, o którymby można było powiedzieć, że zupełnie poprawnie pisze;—jakby się jedni zarażali od drugich, lub jakby to skażenie było miazmatem jakimś chorobliwym, utajonym w téj atmosferze, którą literacka rzesza oddycha! To też i ja, który to mówię, nie czuję się wolnym od winy; boję się nawet abym i w niniejszym artykuliku nie wykroczył przeciw tym prawom, których właśnie bronić zamyślam,—aby też i na mnie ktoś nie zawołał: „*medice cura te ipsum*!"—boję się, bo najszczerzéj wam się przyznaję, że doprawdy nieraz sam nie wiem, czy źle, czy się dobrze wyrażam?

Niestety, nie ulega wątpliwości, że czasopisma nasze, znacznie się do zarazy téj przyczyniają. Pośród drużyny powołanéj przez nie do pióra, nie jeden się znajdzie taki ochotnik, który na nieszczęście, gramatyki całkiem zapomniał, albo się jéj zgoła nie uczył; nie jeden znowu choć ją i umie teoretycznie, w praktyce jednak, w artykułach zwłaszcza pobieżnych, pospolicie z nią się rozmija; nie jeden wreszcie, czytając wiele w obcych językach, albo często posługując się nimi, myśli swe w nich pierwotnie układa, a dopiero już mówiąc, czy też pisząc, musi je na swój własny niby przekładać, przez co obce zwroty wyrażeniom swoim nadaje; a redakcye nasze, nie wiem, czy to szanując drażliwość autorską swoich współpracowników, czy też ochoty albo czasu na to nie mając, aby w ich dziełach grammatyczne błędy poprawiać, częstokroć przepuszczają takie *herezye*, iż trzeba je widzieć czarno na białém, aby uwierzyć że się w druku znajdować mogą. Że zaś pisma peryodyczne stanowią dziś jedyne prawie czytanie i dość szeroko po kraju się rozchodzą, więc nieznacznie swych czytelników w tak skażoną mowę wdrażając, psują przez to język potoczny, który im wzajem dobrém za nadobne odpłaca; bo ogół źle mówiących oddziaływa na piszącego, a ten mu późniéj z jego darów składa ofiarę, zwykle ją przez dzienniki podając, które ze swojéj strony muszą też i na niego niejaki wpływ wywierać. Nasłuchawszy się i naczytawszy najsprzeczniejszych neologizmów, człek nareszcie traci poczucie właściwości rodzinnéj mowy i wbrew jéj duchowi, nieraz bezwiednie, wyraża się usty i piórem.



Jan Królikowski. (Str. 22).

Szczególnie tłumaczenia, których dziś tak wiele po wszystkich czasopismach, obfitują w najwybitniejsze błędy. Wzorowe, do wyjątków zaliczyć można, raz dla tego, że wielu takich bierze się do téj pracy, którzy i pojęcia o niéj nie mają i częstokroć z dykcyonarzem w ręku, wyraz po wyrazie tłumaczą, nie zważając na ducha, równie obcéj, jak własnéj mowy; a powtóre, że nawet dla tych, którzy gruntownie posiadają obce języki, tłumaczenie bynajmniéj nie jest ladajakiém zadaniem. Łatwiéj oryginalnie ze sto wierszy dobrze napisać, niż dziesięć przetłumaczyć jak się należy.

Koniecznèm więc, aby redakcye lepiéj się pilnowały w tym względzie. Ich to jest obowiązkiem czuwać nad czystością języka; każda z nich przeto powinnaby kogoś na to przeznaczyć, aby w utworach uznanych przez nią za przydatne do druku, wprzód nim one pójdą pod prasę, gramatyczne błędy poprawiał. Dobrzeby to było zaprawdę, lecz podobno nigdy nie będzie, bo na to nie ma czasu — niestety!...

Cóż począć! Muszę cofnąć swój wniosek, lecz natomiast śmiem podać inny. Oto: czyby nie można było, żeby którykolwiek z naszych dzienników dział osobny na to poświęcił, aby w nim, jak rebusy, zagadki lub końcówki szachowe, podawać czytelnikom swoim do rozwiązania, lub właściwiéj do poprawiania, rozmaite błędne frazesy, jakie setkami mógłby łapać u swych sąsiadów? Wielkąby to korzyść przyniosło, zarówno czytającym, jak i piszącym, i możeby powoli nasza mowa, co się tak rozstroiła haniebnie, znowu się stała *czystą* i *ograną* jak niegdyś...

Jeżeli więc pozwolicie, to od czasu do czasu, ma się rozumieć, niczyjéj nie tykając osobistości, będę przysyłał wam po garstce tego kąkolu, co prawie nietykany, tak się hojnie na niwie literackiéj u nas rozplenił, iż gdy póki na dobie jeszcze, nikt go wypleć nie zechce, to wreszcie zapomnimy, nie tylko jak smakuje, lecz nawet jak wygląda czysta pszenica.

Na pierwszy raz przytoczę ważniejsze tylko błędy takie, które właśnie najczęściéj dają się spotykać. Oto naprzykład: wielu autorów używa czasownika *obznajmić*, zamiast *zaznajomić*, *zapoznać*, albo najwłaściwiéj *obeznać*. Niechże mi kto powie, co to za wyraz? zkąd się on wziął w naszym języku? Wszakże przybranka *ob* jest to co *o* i z którą mamy *oznajmić*, zupełnie co innego znaczące. Nadto zaś *ob* tu żadną miarą stanąć nie może; gdybyśmy nawet przypuścili, że on to odróżnia *obznajmić* od *oznajmić*, bo w takim razie byłoby *obeznajmić*, jak jest właśnie *obeznać* a nie *obznać*.

Przyjęto także słowo *wykluczyć*, które u Lindego należy do szeregu nieużywanych, z takiém objaśnieniem: „wykluczyć urzędnika w Rossyi, znaczy złożyć go z urzędu, z wyłączeniem czyli wyma-

zaniem z listy“. Ale o czasowniku *wkluczyć*, zamiast *włączyć* lub *wcielić*, to już nawet i Linde nie wie. Razem zaś z tém *wykluczyć*, *wkluczyć* należałoby i *przydzielić* nie używać zamiast *przyłączyć*; choć i w przyjętém przez Lindego znaczeniu, zdaje mi się całkiem przeciwném duchowi naszéj mowy, bo *przy* i *dzielić* jedno z drugiém się kłóci. To też i Linde żadnego nie przytacza na to przykładu.

Błędnie się znowu pisze *przenosić* zamiast *znosić* lub *cierpieć*. *Przenosić*, jako słowo niedokonane, oprócz przenoszenia z miejsca na miejsce, może znaczyć *górować nad czémś*, *coś przewyższać*, *woleć jedno niż drugie*,— jako dokonane — *przetrzeć coś*, albo *zepsuć długiém użyciem* (np. odzież), i nareszcie *przenieść na sobie*, toż co *wymódz na sobie*.

Niebardzo też właściwie używa się *przesądzać* w znaczeniu *uprzedzać coś swym sądem*, *z góry o czémś wyrok wydawać*; zgodnie bowiem z duchem języka znaczy ono *sądzić powtórnie*. — *Spytał mi się*—to już taki dziwoląg, z jakim się chyba *komu jedzie* może porównać!

Zamiast *tą*, *jedną*, *drugą*, *inną*, *ostatnią*, *razą*, piszą dziś pospolicie *tym*, *jednym*, *drugim*, *innym*, *ostatnim razem*. Zdarzyło mi mi się nawet czytać recenzyą, w której autorowi za błąd to policzono, że używał *tą razą*. Zapewne, niewtajemniczonemu w ducha rodzinnéj mowy, znającemu ją, że tak powiem, po wierzchu, forma ta niewłaściwą wydać się musi, bo *raz* jest rzeczownikiem męzkim; lecz opierając się na téj zasadzie, należałoby mówić *kilka razów*, zamiast *kilka razy*, bo żaden z rzeczowników na *z* się kończących, nie przybiera *y* w drugim przypadku liczby mnogiéj. Nikt się jednak tak nie wyraża, bo każdy to rozumie, że *kilka razy* to samo co *kilkakroć* oznacza, a *kilka razów*—toż co kilka ciosów, albo uderzeń. Czemuż więc i pomiędzy *tą*, *ostatnią razą*, a *tym*, *ostatnim razem* nie chcą zrozumieć takiéj saméj różnicy? Czyż to nie jasno, że co innego będzie gdy powiemy: „*ostatnią razą dobrze go powitano*“, a co innego: „*ostatnim razem dobrze go powitano*“? Czyż drugie wyrażenie nie każe się domyślać, że się mowi o powitaniu kijem, z którego wielu ciosów, ostatni był najlepszym? Na cóż samochcąc taki zamęt w mowę wprowadzać? na co odzierać ją ze skarbów, na które się wieki składały?

W użyciu liczebników: *kilka*, *pięć*, *sześć* i t. d. aż do *dziewięćdziesięciu dziewięciu*, prawie powszechnie jednaki błąd widzieć się daje. Ledwie nie wszyscy, używając ich z rzeczownikami, piszą w szóstym przypadku *kilkoma*, *pięcioma*, zamiast *kilku*, *pięciu* i t. d., co jest wbrew przeciwne regule gramatycznéj, według której szósty na *oma* używa się tylko bez rzeczownika; a więc nie mówi się *pięcioma palcami*, tylko *pięciu palcami*. A są i tacy którzy to *oma* i do *sto* przyczepiają i zamiast *stu rublami* mówią *stoma rublami*, a za to liczebnik *parę* deklinują jak *kilka* i piszą *przed paru dniami*, w *paru dniach* i t. p.

Daléj znów piszą najczęściéj: *pary unoszą się w powietrzu*. Ktośby myślał, że pary tanecznników, a tymczasem bynajmniéj! mają to być wyziewy, lub też poprostu *para*, która za dawnych dobrych czasów mnogiéj liczby wcale nie miała. Linde przytacza wprawdzie jeden przykład z Naruszewicza:

„Tysiące przysiąg, życzenia bez miary,
„Próżne to są ust pospolicie pary.“

ale to chyba *licentia poetica* dla rymu. W ogóle zaś i wiele innych rzeczowników, tak zwanych *materialia*, które się w mnogiéj liczbie albo wcale nie używają, albo wyłączne przybierają znaczenie, (jak np. srebra, cukry, wódki,) w ostatnich czasach z téj reguły także wyjęto, ba i zupełnie zapomniano o jéj istnieniu.

Zamiast *mapa*, coraz to częściéj spotyka się *karta geograficzna*. Czemże ta ostatnia lepsza od pierwszéj? czy tém, że dwa wyrazy daje zamiast jednego? Wprawdzie niektórzy posługują się samą *kartą*; ale wtedy nie każdy zgadnie, czy im chodzi o kartę w książce, czy o karty do grania, czy właściwie o mapę?

Zamiast *mężczyzni* wielu pisze *panowie*, zamiast *kobiety*—*panie*. Naprzykład: „po herbacie towarzystwo się rozdzieliło: *panowie* zabrali się do wista, a *panie* poszły do ogrodu.“ W taki się sposób tylko słudzy mogą wyrażać. Między równymi Pan, Pani, Panowie, Panie, używa się tylko przy tytule, imieniu lub nazwisku, a samo przez się, chyba w piątym przypadku, albo mniéj poufale i mniéj właściwie w pierwszym, np.: „Bądź Pan łaskaw! Niech Panowie raczą posłuchać!“ Inaczéj, ten rzeczownik w pojedynczéj, czy w mnogiéj liczbie, tak w męzkim jak i w żeńskim rodzaju, nie co innego, jak tylko *stan* musi oznaczać, uprzywilejowaną klasę społeczną, arystokracyą lub w ogóle kogoś takiego, kto czemś włada, lub komuś rozkazuje.

O imionach rodowych żeńskich, używanych z męzką końcówką, nieodmienną w przypadkach ani w liczbach, np. Pani albo Panna Radziwiłł, Panie albo Panny Radziwiłł, nie jeden już mówił przedemną. Ktoś nawet kiedyś, chcąc stanowczy cios zadać temu dziwolągowi, wręcz oświadczył, że w taki sposób nazywać się mogą tylko nieślubne żony, albo nieprawe córki, ale i to nic nie pomogło. Nie ma więc innéj rady, jak tylko aby ci mężowie, których się żony nazywają po męzku, przezwali się po kobiecemu; inaczéj bowiem, przynajmniéj w pismach naszych, związki małżeńskie rozprzęgną się bez śladu. Jeden z przyjaciół moich dobrze wyszedł na tym sposobie; bo gdy młoda małżonka jego kazała sobie zrobić bilety wizytowe z napisem Zofja Rawicz, on na swoich odbić zalecił Ignacy Rawiczowa, i zaklął się najuroczyściéj, że jeśli ona pozostanie przy swoich, on od swoich też nie odstąpi, bo chce koniecznie, żeby ludzie o tém wiedzieli, że Ignacy i Zofja to małżeństwo, a nie dwaj bracia, z których jednemu na chrzcie dano niewieście imię. Poczciwa Pani Zofja, nie chcąc na śmieszność swego męża narażać, rada nie rada, Rawiczową zostać musiała; choć doprawdy nie wiem dla czego miał być śmiesznym Ignacy Rawiczowa, a nie śmieszną Zofja Rawicz?

Dziwolągiem także nielada jest, zamiast *tak* przyjęte *tyle*, a znów zamiast *tyle*—*na tyle*. Jak np: „był *tyle* śmiałym, iż się przyznał do winy. Wyszedł *na tyle* gwałtowny wicher, że aż domy się trzęsły.“ Śliczne wyrażenie! nie prawdaż? a Bóg świadkiem, że wzięte z druku. Trzeba się zakląć, bo nie każdy uwierzy.

Nareszcie wartoby oszczędniéj nieco używać rzeczowników tak zwanych słownych, zamiast bezokolicznego wyrazu czasowników, który jest ich formą rzeczową. Dziwne się ztąd tworzą frazesy, prawdziwe łamigłówki mównicze, jakby się pisarze na to sadzili, aby się całkiem obejść bez czasowników i oprócz dopełniacza nie używać innych przypadków.

Na pierwszy raz będzie tego dosyć.

Adam Pług.

BIADA!

Za ubiegłym rokiem—drugi, patrz, już goni!
Jeszcze jeden konał... I krok naprzód jeszcze!...
Jeszcze jedna meta na życiowéj błoni,
Jedną zimą więcéj, na sny wiosny wieszcze!...

Czas, godziny, lata! Ha, to wielkie słowa
Słowa pełne głębi! Świat nie zważa na nie!
Oto już godzina dni wybija nowa!
Wieluż tu śmiertelnych da jéj posłuchanie?

Człowiek marnie trwoni owe czasu mgnienia,
W nieoględnym szale i w pieszczotach świata;
Mniema, iż to życie, wielki Mistrz stworzenia,
Z pieśni mu, bankietów i róż wonnych splata!...

Czas niepostrzeżenie mknie mu, śród uśpienia;
Ha niebaczny! Jutro, czyliż w jego dłoni?
Trwoniąc dnie swe, lata, czyliż je ocenia?
Inny ktoś ich liczbę, a nie on, wydzwoni!...

Karny głos rozsądku wtedy nań zawoła,
Gdy mu wicher świata ducha w pył rozmiecie,
Gdy ockniony ujrzy, iż z bladego czoła—
Pada zwiędłe, zmięte, zżółkłe wiosny kwiecie!...

Gdy kwiat marzeń jego los po listku zrywa,..
A zerwane, z dumą świat szyderczy zgniecie,
Kiedy czuje, że już zwiędła życia niwa
Runąć ma w przepaście, jako potok w lecie,

Zrospaczony, chwiejny, skarży się i woła:
Czyż już słodycz życia do dna zaczerpnąłem?
Czyż dla ciała, ducha, nic tu nie mam zgoła?
Któż mi wypił serce, z czarą życia społem?..

Nikt mu nie odpowie! I w przedśmiertnéj dobie,
Próżno zwiędłéj piersi ogrzać chce pustkowie!
I napróżno jeszcze chce rozdmuchać w sobie
Garść popiołu, którą świat przeszłości zowie!

Klemens Podwysocki.

EKONOM I ARENDARZ.

Przed niedawnym jeszcze czasem, ekonom i arendarz byli pierwszymi dygnitarzami wioski.—Przy obecnéj organizacji stosunków włościańskich, — dawniejszy ekonom, ze wszystkiemi swojemi wadami i zaletami—z całą swoją oryginalną charakterystyką — zniknął—i typ ten należy już tylko do przeszłości, dawszy miejsce kilku innym, podrzędnym typom wiejskim. — Silny swoją monetarną i kredytową pozycją, arendarz pozostał na miejscu—a chociaż wiele się zmienił—zmiana ta, jako w chwili przechodowéj—nie jest wcale korzystną, dla jego moralnéj i malowniczéj strony. Lecz nie myślę tu wcale rozwodzić się nad czasem teraźniejszym. Każdy, kto bez ujmy własnéj godności raczy patrzéć na to co swoje i co jest blisko — ma przed sobą szeroki obraz nowo rozwijającego się życia. Wolę więc chwytać rozpierzchłe obrazki dni wczorajszych i pozawczorajszych — które jednak są niemniéj od nas daleko, jak to, co było przed wiekami....

Dziedzic zamożnéj włości, zwanéj Dębowa-Wola, oddany spokojnemu używaniu życia, nie trudnił się wcale gospodarstwem — i mając tę jedynie zaletę, że nigdy nie tracił więcéj nad roczny dochód—administrację wioski, powierzył bezwarunkowo p. Barłomiejowi Barbeckiemu—staremu słudze ojca.

P. Barbecki na obowiązku ekonoma, nie przyswajając sobie honorowego tytułu rządcy lub administratora, pobierał tylko dwieście złotych pensji rocznéj—i donośną ordynarję. Było to niby mało, było to oznaczenie, na którém dziś lada lokajczuk, nie umiejący dobrze usłużyć do stołu, nie chciałby—a może i nie mógłby poprzestać. Ale najprzód, p. Barbecki oprócz pensji miał mnóstwo tradycyjnych dodatków, które mu stanowiły w dziesięćkroć więcéj niżeli pensja. Miał wypas i zimówkę dla oznaczonéj liczby bydła i koni. Prowadził więc niemi handelek po okolicznych jarmarkach i sam się wzbijał w dobytek. Miał prawo przysiewku na *wakansowych polach* i wypędzania pewnéj ilości okowity, na pańskiéj gorzelni. Przytem zapewnione miał sobie *porękawiczne* od każdéj hurtowéj sprzedaży, dopisywane zawsze najwyraźniéj do kontraktów. Gdy zaś dodamy do tego prezenta *jasnego pana*, przekonamy się z łatwością, że może dawniejszy ekonom, lepiéj stosunkowo był opatrzony, przy pozornie małéj pensji — niżeli dzisiejszy pan rządca lub administrator, z kilku tysiącami złotych pensji—i tantiemą.

Głównie zaś, inne to były czasy, inna cena pieniędzy i wszystkich potrzeb—inny rodzaj życia—i inne zwyczaje i obyczaje.

P. Barbecki *nie był kryminalistą*—nie okradał swojego pana, nie miał tajemnych stosunków z kupcami, rzemieślnikami—i nie ciemiężył włościan.—Mam w pamięci i w oku typ czysty ekonoma, jakim go wytworzyły miejscowe okoliczności i potrzeby czasu, którym poczciwie i godnie odpowiedział. Niech, komu ochota, szkicuje potworne przemiany tego pierwowzoru — chociaż nie będą to już typy—ale zdefigurowane wyjątki.—Zła wola i zboczenia oddzielnych członków, psuje harmonję wszystkich zarówno stanów — jak złe życie psuje twarz ludzką. Lecz czyliż przez to braknie nam żywych wzorów, dla odtworzenia typu każdego stanu — i dla ujęcia rysów nieskażonéj twarzy?

Codziennie, równo ze świtem, p. Barbecki był już na nogach, i prowadził rej obrotowi gospodarstwa—albo oglądał remanent żywotny i narzędzia rolnicze.—Regestratura ekonomiczna prawie nie miała miejsca — pańszczyzna wypisywała się raz na tydzień, za pomocą karbów — a zapowiadała się ustnie wieczorem, przychodzącym po rozkazy sługom. — Wysiew zaś ziarna i sprzęt zboża—jako też ilość sprzedanéj krescencji, zanotowane były na kalendarzach. Spis tylko remanentu żywotnego formowany był osobno. — Podczas gdy mąż tak się krzątał — żona jego, krzepka i zamaszysta kobieta, — wolna od wszelkich obowiązków służebnych, gdyż pachtem, drobiem i spiżarnią dworską trudniła się klucznica — oddaną była wyłącznie dozorowi własnych krówek, drobiu i warzywnego ogrodu, przy dworku ekonomicznym.—Dworek ten składał się z dwóch pokoików i kuchni nazwanéj piekarnią. Strój p. Barbeckiego stanowił surdut długi sukienny, albo letni dymowy; najczęściéj zaś chodził w krótkim kożuszku, albo burce z kapturem, uszytéj z domowego sukna. Umiał zaledwie czytać, pisać i rachować. Oprócz kalendarza i staréj książki do nabożeństwa, żadnego druku w ręku nigdy nie miał—nic go nie interessowało po za obrębem gospodarskich i jarmarkowych stosunków — o ulepszoném gospodarstwie ani mu się śniło — i jak w Świętą Trójcę, wierzył w trzy-polowy podział... Przytem, wychodząc z domu, miał zawsze w ręku, albo przewieszony przez plecy, tradycyjny ekonomski harapnik lub dyscyplinę.

Cielesna chłosta dzieci, nawet własnych — równie jak domowników — uważała się za jedyny środek do skierowania na drogę cnoty, powinności i posłuszeństwa... Nie szczędził też dyscypliny dla swoich dwóch synów, zanim ich wysłał do szkoły... A gdy zważymy, że roczne ich utrzymanie z ubraniem i książkami kosztowało go zaledwie sto pięćdziesiąt złotych, z dodatkiem niektórych ogrodowych i spiżarniowych zapasów—że oprócz na święta Wielkanocne i Wigilję, niczego prawie nie potrzebowali kupować na życie—krom soli—że sama pani Barbecka nosiła się bardzo skromnie, obwięzując głowę chustką—przekonamy się łatwo — że przy tak szczupłém na pozór zaopatrzeniu, ekonom, nawet bez nadużyć, mógł żyć przyzwoicie—i jak się to nierzadko zdarzało, wykierować synów na ludzi, podług dawnego arcywymownego wyrażenia.

Taki był rządowy — że tak powiem, charakter p. Barbeckiego. W życiu zaś domowém, był to prostoduszny, pełen prawdziwego humoru i dowcipu człowiek — z niepohamowanym popędem do różnego rodzaju konceptów i figlów—które wprawdzie często, w braku inwencji, powtarzał — ale które pomimo to rozweselały zawsze jego samego i tych z którymi żył. —

Drugą, jak wiemy potencją w Dębowéj-Woli — był arendarz. Stary Wolko, dzierżawiąc dwie razem karczmy—jedną wiejską zarządzał przez swego zięcia — a w drugiéj zajezdnéj, na trakcie handlowym, sam mieszkał—i przez różne a przeróżne handelki i spekulacje doszedł do dość znacznego kapitału.—Będąc arendarzem w Dębowéj-Woli więcéj lat czterdziestu, znał dobrze p. Barbeckiego, który rozpoczął swój zawód za młodu od ekonomicznego pisarka—wiedział więc, że niepodobna zawiązać z nim żadnych dwuznacznych stosunków — i jeżeli nawet skorzystał niekiedy z niepraktyczności dziedzica, było to zawsze bez wiedzy p. Barbeckiego—albo pomimo wyraźnych jego ostrzeżeń. Z tego też powodu, Wolko był zawsze z pewnego rodzaju attencją dla ekonoma, którego nie mógł ani podejść, ani z miejsca wysadzić, — a p. Barbecki traktował go zawsze żarcikami i nieraz mu figle różne płatał. Pod koniec jednak, gdy Wolko na prawdę wzbogacił się, począł być jak to mówiono *Szejne-Morejne* — a nawet względem p. Barbeckiego bywał niekiedy z lekceważeniem. Stary ekonom, czmuchał na to nosem, podkręcał wąsa i postanowił się zemścić poswojemu... Wkrótce też nadarzyła się sposobna do tego okoliczność.

Pewnego razu latem, p. Barbecki zajechawszy nad wieczorem do karczmy, był świadkiem, jak Wolko odpędzał i nie chciał przyjąć na noc biednego chłopka, wiozącego chorą żonę do *znachora*, dla tego że nie miał czém zapłacić za nocleg.—Widząc to p. Barbecki, wpłynął na Wolka że nietylko nie wzbraniał noclegu, ale nawet pozwolił wejść choréj do bocznéj izdebki. Nazajutrz puścił się deszcz ulewny—i nietylko nie ustał do wieczora, ale zdawał się ciągle wzmagać. — Znudzony bezczynnością całego dnia, p. Barbecki, rozmyślał w samotnym dworku o tém i owém—aż nagle przyszła mu myśl ukarania Wolka za wczorajszą nieuczynność dla choréj. Rad z konceptu śmiał się sam do siebie, niecierpliwił się że noc nie nadchodziła i posłał po jednego z fornali dworskich, na którego spryt i dochowanie tajemnicy mógł liczyć. Wziąwszy go też na stronę, dał na ucho szczegółową instrukcją—i znowu się niecierpliwił przygryzając język, żeby się przed czasem z szczęśliwego pomysłu nie wygadać.

Około godziny dziesiątéj w nocy, pomimo że deszcz nie ustawał, p. Barbecki narzuciwszy na siebie burkę, był już na koniu — i pod jakimś gospodarskim pozorem wyruszył razem z umówionym chłopakiem z folwarku.

— A czy masz wszystko, co kazałem? zapytał fornala minąwszy wrota — a gdy odebrał potwierdzającą odpowiedź — puścił się cwałem do traktowéj karczmy, wiedząc dobrze że tam już wszyscy spali.

Stanąwszy na miejscu, p. Barbecki podszedł pod zamkniętą okiennicę pokoju w którym sypiał Wolko i stukając w nią mocno, począł wołać, zmienionym głosem:

— Otwórzcie panie arendarzu, na miłość Boga, otwórzcie!

Po kilkakrotném wołaniu i coraz mocniejszém stukaniu, Wolko zapytał w końcu niechętnie:

— A kto tam, czy dacie co utargować?

— Aj, gdzież tam panie arendarzu, co ja wam dać mogę utargować, kiedy nie mam złamanego grosza przy duszy.... To ja, ten wczorajszy, co to wam pan ekonom kazał mnie puścić... Wracam już od znachora — i deszcz żonę moją zaleje na śmierć, jeżeli mnie nie puścicie do chaty!....

— No, dobrze—dobrze—to ruszaj sobie szukać swego ekonoma—jego tu teraz niéma—a ja dla takiego kapcuna, nie będę z łóżka wstawać...

— Oj popamiętasz że ty mnie przez całe życie—kiedy nie mia-

leś nad nami litości! zawołał głośniéj p. Barbecki, uderzając raz jeszcze, jakby nad odchodnem, w okienicę.

— Dobrze! dobrze! krzyknął Wolko — tylko jedź sobie do licha i daj mnie spać.

Podczas téj rozmowy, któréj rezultat p. Barbecki przewidywał zawczasu — chłopak którego wziął z sobą, był już na dachu — wyrwał kilka snopków z słomianego poszycia—i na przygotowanym sznurze, spuścił się do stajni, stanowiącéj zarazem sień karczmy. — Tam wykrzesał ognia, zapalił przywiezioną z sobą latarnię — i drewnami drzewa przygotowanemi na opał, popodpierał wszystkie drzwi prowadzące do sieni z izb mieszkalnych. Wszystko to, mógł urządzić niepostrzeżony—bo nawet stróż karczemny, nie czekając podróżnych, spał w gościnnych pokojach.

Tymczasem p. Barbecki, dobrze obeznany z miejscowością, pościągał dyle leżące pod karczmą i popodpierał nimi wszystkie okiennice; gdy zaś chłopiec z niezgaszoną latarnią wrócił — p. Barbecki, podstawił latarnię pod szpary okiennicy pokoju w którym spał Wolko—i uderzywszy w nią z całéj siły kijem—zawołał głośno:

— A teraz że spal się na węgiel, psiawiaro—z żoną swoją, z dziećmi i ze wszystkiém coś naszachrował.

W karczmie wszczął się gwałtowny krzyk i harmider. Słychać było jak Wolko, zeskoczywszy z łóżka, budził żonę i dzieci—i dobijał się do drzwi i okien. Lecz p. Barbecki, nie czekając końca, ruszył do domu, z gębą pełną śmiechu; powtórzył jednak rozkaz fornalowi, żeby się z téj sprawki nie wygadał — i tylko żonie pod sekretem przyznał się do tego figla — który uważał za najdowcipniejszy ze wszystkich, jakie w życiu wyrządził.

Ranek następny błysnął jasno, nie zostawiając śladu wczorajszéj ulewy. P. Barbecki, po obejrzeniu polnéj robocizny — zajechał niby przypadkiem do karczmy — chcąc się nacieszyć skutkami nocnéj wycieczki.

Spotkał go u wejścia Wolko, kulejąc, z zawiązaném okiem i pokaleczonemi rękoma.—Idąc daléj, spostrzegł piec w jednéj izbie do połowy rozwalony — stołki i ławki połamane—i szyby w kilku oknach potłuczone. Nie dając jednak poznać, że wié co zaszło, pytał poważnie i troskliwie, co się stało? Czy broń Boże jaki zajazd, albo rabunek?

— Aj waj! gdzie tam panie — to takie kiepstwo — że tylko śmiech — taj koniec — a staremu Wolkowi, wstyd na starość!

— Ależ na miłość Boga! cóż się to stało?



Ekonom (Str. 19.)

Tu Wolko, wziąwszy ekonoma za rękę, poprowadził do gościnnego pokoju—i usadowiwszy na krześle, opowiedział najprzód początek dobrze mu wiadoméj nocnéj sceny—a daléj zeznał:

Że gdy zobaczył światło bijące z poza okienicy, zdało mu się, że już cała karczma w ogniu i że go już dym dławi. Zbudził więc żonę i dzieci, które narobiły strasznego gwałtu—a sam najprzód rzucił się do okna... Lecz potłukłszy szyby i pokaleczywszy ręce, przekonał się, że okiennica była podpartą. Chciał więc drzwi odemknąć, ale i tam to samo... A tymczasem pożar huczał mu nad głową, dym krztusił i oczy wygryzał — a żona wśród wrzasku kilkorga dzieci, krzyczała na gwałt że sufit już się zawala. Nie było więc innéj rady jak tylko piec rozwalić, bo tylko tym sposobem, można było dostać się do sieni. Wziął się więc do téj roboty, druzgocąc stołki i ławki o mur nowo zbudowanego pieca... Żona i dzieci pomagały mu, wyszarpując z wyłomu oddzielne cegły—lecz roztrzaskujący się gruz kaleczył ich — a pył podczas téj rujnacji straszył tymbardziéj dymem pożaru... Po półgodzinném może szamotaniu, dostali się nakoniec przez piec wpółrozwalony do sieni — a ciemność z szumem ulewy, przekonały ich, że byli w błędzie co do pożaru. Rozbudzili pachołka, zapalili świeczkę—i...

— I cóż? zapytał p. Barbecki.

— I—proszę pana — kiepstwo! zajęczał Wolko, biorąc się za głowę.

— Któż, jak myślisz, zrobił ci tę psotę?

— A któż jeżeli nie ten przeklęty chłop, co woził się ze swoją żoną.

P. Barbecki kontent że nie domyśla się prawdy — zapytał znowu:

— Cóż teraz myślisz, panie Wolku?

— Co *hersztu!* Teraz niech ptaszek w nocy w okno zastuka — to ja w jednéj koszuli pobiegnę *jemu* odemknąć.

Pan Barbecki kontent był że nauczka w las nie poszła — ale nie chciał przyjąć na rachunek dworu reperacji karczmy — o co się Wolko bardzo czule przymawiał.—Gdy jednak Wolko opowiedział tę scenę dziedzicowi, ten uszczęśliwiony z anegdoty, kazał wszystko naprawić na rachunek karczemnéj tenuty..... Skompromitowany arendarz, długo chodził jeszcze kulejąc, z podwiązaném okiem i z pokaleczonemi rękoma.

Jan Prusinowski.

PANSTWO MARCINOSTWO.

Obrazek z zaścianka szlacheckiego

przez

J. K. Gregorowicza.

(*Dokończenie*).

Choć odległość dość znaczna ich dzieliła i pan Wojciech szedł jak niewiniątko, wyraźnie jednak dostrzegał na twarzy jego igrający wyraz zadowolenia, a w oczach błyszczące spojrzenie takiej złośliwości, że aż go kolnęło i oparzyło, jakby mu kto żaru za kołnierz nasypał.

— To twoja sprawa mopanku — szepnął do siebie — poczekaj przyczajku! nauczę ja cię rozumu.

Szybko potem podyrdał ku domowi; przez dzień cały mało mówił, niewiele jadł, tylko myślał, tarł czuprynę, skubał wąsy i coś mruczał między zębami.—W nocy przewracał się niespokojnie, wzdychał, szeptał, jakby pacierz powtarzał i dopiero przy śniadaniu, z ostatnią łyżką spożytego posiłku, zerwał się nagle i wyskoczywszy w górę, jakby miną wysadzony, zawołał:

— Mam cię gagatku!—Anusiu pisz, pisz, tylko jak najprędzej to co ci powiem.

Anusia umiała pisać nawet niezgorzéj, bo przez lat kilka gościł we wsi jakiś zubożały oficjalista, troszkę pijak, troszkę niezdara, który koleją żywiony i pod dach przyjmowany, uczył dziatwę tego co sam umiał. — Wprawdzie lepiéj się znał na przymiotach trzody zdatnéj na wypas i mocy spirytusu wyrabianego w pobliskich gorzelniach, niż na nauczycielstwie, zawsze jednak Anusia i jéj rówiennice umiały czytać bez zająknienia i pisać dosyć poprawnie.

Pan Marcin nie posiadał się z radości; a gdy zobaczył Anusię gotową do pisania, podumał jeszcze chwilkę i podyktował co następuje:

Twoja moc Boże,
Wiele bardzo może,
Ale z koguciñskiego,
Nie zrobi poczciwego.

Kartka z napisem dużemi literami, w godzinę później znalazła się przylepioną cichaczem na postumencie od figury z Chrystusem. Powracający z pola w południe, zatrzymali się przy niej, czytali, rozprawiali, gromadka ciekawych coraz się bardziej powiększała,

edni zacierali ręce radośnie, drudzy pokręcali głową w milczeniu, a choć wszyscy domyślali się czyja to sprawka, nikt jednak nie wymienił nazwiska pana Marcina. — Lękano się świadczenia w sądzie, gdyby się z tego sprawa wywiązała. — Wieś cała w jednéj chwili o wszystkiem się dowiedziała, a pan Wojciech nie był ostatnim. Na podziw ogólny wysłuchawszy przeczytanego sobie głośno paszkwilu, podniósł tylko ramiona w górę i osowiały nawrócił ku domowi. — Nie wyrzekał ani jednego słowa, nie oburknął się, zapomniał nawet zedrzeć ubliżający sobie plakat i dopiero dopełniła tego jakaś przyjazna dla niego ręka, miotając na pana Marcina straszne wymówki i połajania.

Kiedy pan Marcin zobaczył Wojciecha powracającego z pola, idącego ze spuszczoną głową, jakby po zdjęciu z krzyża, zatarł ręce radośnie i szepnął, przekręcając czapkę na ucho:

— To za komornika sąsiadeczku kochany.—Przeprowadzę ja ci go przez oba boki, przez wszystkie żebra; będziesz go czuł w oczach, w uszach, aż w końcu wyjdzie ci gardłem, a dziurkami od nosa znowu ci go wpakuję.

Kiedy pan Wojciech wszedł na podwórze swojej zagrody, pan Marcin pragnąc się nacieszyć zgryzotą sąsiada, zobaczywszy że dochodzi już do dworku, zawołał nagle jakby śpiewał krakowiaka:

Sąsiedzie, sąsiedzie,
Co to dalej będzie,
Kiedy już na ciebie,
Bóg się gniewa w niebie.

Pan Wojciech przystanął, wysłuchał cierpliwie i zamiast wpaść w wielką zapalczywość gniewu, przechylił głowy i zdejmując kapelusz, rzekł głośno i z największą łagodnością:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystys!

Pan Marcin słów tych już nie dosłyszał. Zobaczył wprawdzie ruch pana Wojciecha, ale sądząc, że go spotka jakieś wet za wet, nie dał już na niego pilniejszego baczenia i rozweselony wpadł do izby z wielkim rumotem. — Pan Wojciech wszedł także do wnętrza swego mieszkania, ale cichy, milczący jakby pognębiony. — Zmiana ta nie uszła uwagi jego małżonki; powodu smutku chciała się koniecznie dowiedzieć. Zaczepiała go to z téj to z owéj strony, ale wszystko napróżno, bo albo milczał uparcie, albo zbywał ją pierwszém l[illegible]ém słowem i machnięciem niecierpliwém ręki. — Posłanników jednak złego nigdy nie brakuje. Wprędce też sąsiadki o wszystkiem zawiadomiły panią Wojciechowę.



Arendarz. (Str. 19.)

— A bezbożnik, a heretyk! zawołała rozżalona kobieta — na świętościach wojować z takimi wymysłami?

— To też to mnie najbardziéj dolega — odezwał się pan Wojciech—że wmięszał Boga do naszéj sąsiedzkiéj niezgody. — Gdyby był naprzykrzył się jakiemu świętemu patronowi, ale Chrystusa Pana niepokoić.... moja w tem wina, moje przestępstwo....

— Co też jegomość pleciesz — przerwała żona—czyż to jegomość zacząłeś wojować z kogutem?

— Ej! kogut marna rzecz i grzeszne stworzenie, bo piał na zaparcie się ś. Piotra, ale ja gorszy bezbożnik, bom figurę Chrystusa Pana miłosiernego — na rozstajnych drogach, przy naszém polu, przybił dwoma gwoździami do postumentu.

— Chryste Panie! a to po co?

— Żeby nie odwracał na cudze połanki, oblicza Bożego.

— I jegomość śmiałeś, jak krzyżownik jaki, kaleczyć gwoździami świętą figurę?

— Panie przebacz!—Panie zmiłuj się nademną! — szepnął pan Wojciech boleścią zgnębiony — nie mogę teraz znaleść miejsca dla siebie, i gdzie spojrzę, wszędzie widzę twarz Chrystusa Pana, jak ze smutkiem wskazuje mi boki swoje zakrwawione.

— A, to prawdziwe nieszczęście! — zawołała z rozpaczą pani Wojciechowa—ale kiedy jegomość upamiętałeś się w swojéj bezbożności, to Bóg przebaczy, tylko trzeba krzywdę modlitwą przebłagać.

Wieczorem, kiedy u pana Marcina z największą wesołością gwarzono przy palącym się ogniu na kominie, pan Wojciech cichaczem z małemi obcążkami wymknął się z domu, razem ze swoją małżonką, bo sam jak powiadał, nie miał odwagi pójść w taką ciemnicę, i pościutko udał się na rozstaja. — Doszedłszy do figury, oboje uklękli i w długiéj zatonęli modlitwie. — Potem pan Wojciech drżącemi rękami rozpoczął wyjmowanie gwoździ i dopełniał tego z największą ostrożnością, jakby się lękał sprawienia dotkliwego bólu statuy Chrystusa. — Gdy wreszcie cała czynność dokonaną została, ucałował ze łzami stopy Chrystusa i zwrócił figurę twarzą ku połankowi sąsiada.

— Niechże dla niego będzie łaska Boża — odezwał się drżąc cały jak w febrze—jam grzesznik, więc i pole moje grzeszne.

III.

Na drugi dzień, równo ze wschodem słońca, pan Marcin przechadzał się po podwórzu, szepcząc pacierze i upatrując koguta do nowéj zaczepki. — Ale ptak, ponawianą tak często napaścią, nauczony ostróżności, trzymał się zdala od otoczenia niegościnnego sąsiada i trzepnąwszy skrzydłami, wyskoczył na wóz, aby zapiać na całe gardło.

Pan Marcin uśmiechnął się złośliwie, pogroził ręką i poszedł w pole aby dokończyć rozpoczętéj włóczki. — Ujrzawszy zdala figurę, przyszło mu zaraz do myśli całe wczorajsze zdarzenie, szarpnął więc niecierpliwie wąsem, ale się znowu uśmiechnął, przypomniawszy sobie poetycznego figla, jakim dokuczył sąsiadowi.—W miarę jednak zbliżania się do statuy i przekonywania się, że twarz Chrystusa obróconą jest ku jego połankowi, zaczął prawie nie wierzyć własnym swoim oczom. — Tarł je, przecierał, żegnał się, bił w piersi, ze zdjętą wreszcie czapką przybliżywszy się do postumentu, gdy przekonał się, że r z e c z y w i ś c i e w postrzeżeniu się swojém nie mylił, osłupiał ze zdziwienia i mimowoli wyciągnął rękę ku figurze Chrystusa.

— Wolna, swobodna! zawołał z radością, poruszając nią na wszystkie strony—co to się stało?—To istny cud Boży!

I pan Marcin zamyślił się, ugięły mu się kolana, złożył ręce do modlitwy i łzy zabłyszczały mu w oczach.

— Oczywista łaska Boska!—mówił rozrzewniony. Czyżem godzien Panie twego miłosierdzia!

Przez cały czas pracy pan Marcin rozmyślał. — W skruszoném sercu rozważał swą nieprzyjaźń sąsiedzką, zapalczywość w gniewie, niechęć, dokuczanie; a choć czasami kraśniał wewnętrznem oburzeniem, spojrzawszy jednak na Chrystusa jak łagodném obliczem zwrócony jest ku niemu, uspakajał się natychmiast, żegnając pobożnie z westchnieniem.—Przed południem wrócił do domu, myśląc ciągle o zdarzeniu tak niepojętém i niewytłumaczonem.

Na podwórzu u pana Wojciecha była cisza niezwykła. Nigdzie nie dostrzegł najmniejszego ruchu, nawet kogut jakby zamyślony przechadzał się w milczeniu i tylko ujrzawszy go zakokotał z pewną zawziętością. — Przy wozie stał koń luźny, nawet bez uzdzienicy a przy nim krowa i oboje w najlepszéj zgodzie wyciągali resztki siana i owsianki.—Zdziwiło to niezmiernie pana Marcina, a po uspokojeniu się z bronami, wszedłszy do izby, zaraz zapytał z przekąsem:

— Co to za cisza u naszego pana sąsiada? — Czy pojechał do miasta po komornika?

— W nocy zasłabł nagle—odrzekła żona—i w gorączce majaczy niestworzone rzeczy. — Mają po południu pojechać po księdza, jeżeli mu się nie polepszy.

— Po księdza? — powtórzył przerażony pan Marcin — jakże w takiéj zawziętości jakiéj żyjemy, przyjmie Przenajświętszy Sakrament?

Pani Marcinowa westchnęła, a pan Marcin usiadł przy stole i zamyślił się, opierając głowę na ręku.

— I cóż mu się stało?—zapytał po chwili.

— Powiadają, że w nocy gdzieś wychodził, a że był zgrzany i w lekkiém okryciu, więc się zaziębił.

Pan Marcin poruszył się niespokojnie. Tajemnicze zwolnienie figury Chrystusa z silnego przymocowania wydało się, a zwrócenie jéj ku połankowi tak zawziętego nieprzyjaciela, obudziło podziw i zdumienie.

— Moja jejmość — odezwał się po chwili—tak zostać nie może. — Obaśmy zgrzeszyli. Ale gdy sąsiad nasz w zawziętości sfolgował, ja ją dźwigałem w sercu i nic się nie zmieniłem.—Pójdę do niego i przebłagam, aby z odpuszczeniem méj nieprzyjaźni stanął przed obliczem Bożém, jeżeli mu termin opuszczenia ziemi już przeznaczony.—Gdyby przedtém Bóg go zabrał do chwały swojéj—jabym ani dnia, ani nocy nie miał spokojnéj i rychłobym za nim podążył.

— Idź jegomość, idź—odezwała się p. Marcinowa, wszyscyśmy grzeszni i wszyscy potrzebujemy miłosierdzia Bożego, a przebaczenia ludzkiéj niechęci.

Pan Wojciech rzeczywiście bardzo ciężko zachorował.—W nocnéj wycieczce zgrzany szybkim pochodem, przejęty przykrém wrażeniem swego postępku, zaziębił się, i jak tylko wrócił do domu uczuł dreszcze, które wkrótce zamieniły się w silną gorączkę, tak, iż zaczął nawet majaczyć nieprzytomnie. — Czasami zrywał się przestraszony, wołając że widzi Chrystusa z ranami świeżo otworzonemi. Czasem modlił się głośno zalewając łzami, a czasem odzywał się proszącym tonem, jakby kogoś błagał o przebaczenie. — Około południa, gorączka uspokoiła się znacznie, usnął, spocił się, a gdy otworzył oczy, szepnął do żony:

— Czy tu nie było pana Marcina?

— Nie, nikogo nie było.

— Ach! gdyby chciał przyjść... ale pójdę sam do niego, niechże ta ofiara z pychy mojéj wyjedna mi przebaczenie za występek.

Pan Wojciech chciał się dźwignąć, już nawet nogi spuścił z łóżka, gdy drzwi się otworzyły i pokazał się w nich pan Marcin.—Zatrzymawszy się chwilę, pan Wojciech wlepił w niego zdumione spojrzenie i obaj jakby jednemu posłuszni rozkazowi, wyciągnęli ku sobie ręce, zawoławszy:

— Sąsiedzie! kochany sąsiedzie, przebacz co ci zawiniłem. — Dla miłości Boskiéj, dla miłości Chrystusa Pana...

I obaj objąwszy się za szyję, ściskając, płakali jak dzieci, łkając w głos i prosząc o wzajemne przebaczenie.

— Kochany sąsiedzie, ty pierwszy sposponowałeś mnie kogucińskim—odezwał się pan Wojciech— a córki moje nazwałeś naroszczonemi kokoszkami.

— Spluń te słowa, panie sąsiedzie i zatrzyj nogą, żeby śladu po nich nie zostało. — Wyście powiedzieli że moje dziewczęta djabła umieją trzymać na wodzy.

— I wy to wyplujcie z siebie i zatrzyjcie; słowa wiatr, a serce grunt. W niém zawsze mam dla was życzliwość.

Na drugi dzień pan Wojciech uczuł się zupełnie dobrze. We wsi znów o niczém innėm nie mówiono, tylko o pojednaniu powaśnionych, o zobopólnym żalu przez nich objawionym i o kogucie który tak się uzuchwalił, że kamrata swego w pogoni dognał na podwurzu pana Marcina i tam go zdeptał, wyczubił i wyrwał z głowy cały pęk pierzy.

Od tego czasu zgoda na chwilę nie została przerwaną. — Obaj sąsiedzi żyli prawdziwie posąsiedzku, jak Bóg przykazał, a gdy na rok drugi znowu niebo zaczęło straszyć burzą gradową, dzwonek loterański wystąpił z całą okazałością zebranéj gromady, ale tą razą pani Marcinowa dzwoniąc, zaprosiła do asysty, wszystkie dziewczęta ze wsi. Uważano tylko że córki pana Marcina szły razem z dziewczętami Wojciecha, a syn jego Janek, zérkał oczami bardzo przyjaźnie na Anusię.

— Ta przyjaźń to nie nadarmo — szeptały sobie matki. Anka szesnaście kończy, a Janek dwudziesty, pewno będzie wesele.

Tą razą nie omyliły się; a choć przyjaźń szczera połączyła obie rodziny, choć waśń poszła w zupełną niepamięć, jednak nazwa koguciński nie zaginęła i Janka wszyscy nazywali koguciakiem.

JAN KRÓLIKOWSKI.

Jeżeli w ogólności pisanie czyjegokolwiek życiorysu, przedstawia wiele trudności, najczęściéj niezależnych od piszącego, lecz wynikających z przyczyn zupełnie postronnych — to z pewnością, kreślenie życiorysu wielkiego artysty, chociażby w pobieżnym, dziennikarskim artykule, wkłada na piszącego obowiązek, któremu nie tak łatwo podołać, jakby się na pozór zdawać mogło... Życie artysty nie da się wprawić w ramy zwyczajnego człowieka. Chcąc je zrozumiéć i zrozumiałém przedstawić, trzeba je objąć oczami i.... sercem w całości, poznać wszystkie szczegóły téj prawdziwéj walki z losem, z ludźmi, z sobą samym; przypatrzéć się bliżéj kilku wydatniejszym momentom, w których twarz artysty i człowieka wymowniejszemi spogląda oczami i wreszcie przekonać się, że każdy listek okalający czoło uwieńczonego artysty — zaczął kiełkować na łzach, rósł na krwi, co się powoli z własnego serca sączyła, i dojrzał na czole oblaném potem pracy i walki z tajemnicami sztuki, i z powszedniemi troskami życia, które nieraz, nawet myślą, o gwiazdy oprzeć się nie dadzą....

Owoż tedy, pisząc dziś życiorys *Jana Królikowskiego*, artysty, który zdołał stanąć samodzielnością talentu na wyżynach sztuki, i jest prawdziwą chlubą narodu — winniśmy uprzedzić czytelników, że praca nasza w żadnym razie nie może być wyczerpującą, bo nad taką aktorską potęgą, jaką jest Królikowski, potrzeba w całém znaczeniu tego wyrazu, obszernych studjów, do czego szpalty tygodniowego pisma, nietylko że są zaciasne, ale i zamało odpowiednie. Zamiarem więc naszym jest poznajomić bliżéj czytelników z życiem wielkiego artysty, dla którego z ust wszystkich wychodzą słowa podziwu i uwielbienia, i który oprócz tego, jako człowiek, zjednał sobie szacunek i miłość ogółu.... Z tem większą skwapliwością podajemy niniejszy życiorys, ile, że redakcja zadość czyni powszechnemu żądaniu swoich czytelników, a autor tego artykułu, szczycący się przyjaźnią artysty, nie już ulubionego, lecz umiłowanego przez naród cały—wypełnia przyjemny obowiązek.

Należy tu również wspomniéć, że szczegóły z lat dziecinnych Królikowskiego i z młodocianéj karjery aktorskiéj, poczerpnąłem z własnych tego artysty pamiętników, których część potrzebną, łaskawie udzielić mi raczył.

Urodził się *Jan Królikowski* w Warszawie, d. 11 kwietnia 1820 r. Wkrótce po przyjściu na świat, rodzice jego przenieśli się do Poznania, gdzie ś. p. ojciec jego powołany został na katedrę literatury polskiéj. Zasłużony pracownik na niwie literatury ojczystéj, autor wielu dzieł, jak np. Prozodja polska, Zasady stylu, Wzory estetyczne, Rys poetyki polskiéj, O rytmiczności i metryczności języka polskiego i t. d. — ojciec naszego artysty, zgromadzał w mieszkaniu swojém czoło intelligencji poznańskiéj i był jednym z najgłówniejszych filarów tamtejszego ruchu umysłowego i życia literackiego. Młodziutki wówczas Jan, bo zaledwie szósty rok życia liczący, miał sposobność przypatrywać się oczami dziecka tym poważnym zebraniom i z pewną niezrozumiałą dziecięcą roskoszą przysłuchiwał się kwartetom muzycznym, bo ojciec będąc prawdziwym lubownikiem muzyki i niepospolitym znawcą — często bardzo sprasza! do siebie artystów. Początkowém wychowaniem Jana zajmował się Matecki, dziś jeszcze żyjący doktór w Poznaniu. Nie od rzeczy będzie wspomniéć tu, że Jan naówczas miał trzech braci: Leona, Karola, Kazimierza, dziś jeszcze żyjącego i trzy siostry: Annę, Józefę i Gabryelę.

W tym właśnie czasie artysta nasz oddany został do tak nazwanéj szkoły przygotowawczéj, w któréj po trzyletniém przebyciu, przechodziło się do pierwszéj klassy gimnazjalnéj. Ojciec Jana, człowiek pod względem zasad pedagogicznych postępowy i światły, w wychowaniu cudzych i własnych dzieci kierował się zawsze surowém, ale nacechowaném godnością człowieka postępowaniem i nigdy się nie uciekał do tych ostatecznych środków kary cielesnéj, która dawno przez myślących pedagogów potępioną została. Takiemu to rozumnemu obchodzeniu się winien był Jan, że niejedna wada w jego usposobieniu moralném, w samym zarodku wytępioną została—i w późniejszych latach młodości, w których los dotknął go sieroctwem i opuszczeniem od wszystkich — zasady wpojone przez rozumnych rodziców, stały się dla niego prawdziwą tarczą przeciw moralnemu zepsuciu.

W siódmym roku życia, w nagrodę dobrze złożonego egzaminu, z 1-éj klassy przygotowawczéj — ojciec Jana zaprowadził go po raz pierwszy do teatru. „Serce zabiło mi z radości — pisze Królikowski w pamiętnikach swoich, gdyż jakkolwiek na studenckim amatorskim teatrze, w dramacie „Małpa Żako,“ grałem już rolę

dziecka— jednak o teatrze wielkim, miejskim, żadnego wyobrażenia nie miałem. Przedstawiano właśnie pierwszy raz jenialną operę Mozarta „Don Żuan.“ Ten tłum ludzi, czarowna muzyka, ukazywanie się ducha komandora, nakoniec piekło, — tak potężne to wszystko zrobiło na mnie wrażenie, że odtąd teatr stał się celem, do którego młode rozbujałe myśli moje zawsze zdążały. Odtąd każdą chwilę wolną od nauki, poświęcałem czytaniu prac dramatycznych z trudem wynajdywanych i bardzo często na urządzonym przezemnie dziecinnym teatrze, różne role grywałem... Zamiłowanie to nie wygasło we mnie z biegiem lat — co raz starszy, co raz więcéj czułem w sobie chęci do tego zawodu...”

Przy końcu roku 1829, rodzice Królikowskiego przenieśli się do Warszawy; prześladowany bowiem ojciec Jana przez niemieckich swych kolegów, postanowił opuścić Poznań, udając się do Warszawy, gdzie mu ofiarowano urząd sekretarza jeneralnego w Banku, którego jednak nie otrzymał i poprzestać musiał na wizytatorstwie szkół elementarnych. Po przybyciu do Warszawy, rodzice umieścili Jana w szkole wojewódzkiéj na Lesznie.

Od 1832 roku w stosunkach rodzinnych Jana, zmienia się postać rzeczy. Dotąd rodzice jego, opływając w dostatki, z całą łatwością wykładać mogli na wychowanie dzieci takie, jakieby im zapewniło i przyszłość materjalną i zasady prawdziwego wykształcenia—ale niebawem po przeprowadzeniu się do Warszawy, ówczesne wypadki polityczne, starego ojca i rodzinę pozbawiły wszelkich środków utrzymania. W skutek takiego stanu rzeczy, Jan poprzestać musiał na skończeniu czwartéj klasy, bo już daléj nie było czem szkoły opłacać. (d. n.)

WIĄZANKA.

„Kiedy jeździć—to już sanną.“ Prawda! A ponieważ każda prawda wychodzi zawsze jak oliwa na wierzch, więc nie dziw że i w obecnéj zimowéj porze, ów wiersz Polowski tak chętnie przez nas bywa powtarzany a jeszcze chętniéj w czyn wprowadzany. Ale bo i jakże się tu oprzeć uroczéj pokusie? Śnieg niby puch łabędzi upudrował ulice i drogi staréj matki ziemi; gdzie stąpniesz tam pod nogami aż skrzypią białe, zamrożone różnéj postaci gwiazdki; sześćset publicznych sanek brzęczy, dźwięczy i dzwoni po Warszawie, od rana do późnéj nocy, spacerować nie można bo zimno, przytem ruch i świeże powietrze także coś znaczą; starzy odżyją, młodzi się rozerwią, pośmieją, zarumienią, kolorem stokroć ponętniejszym i smaczniejszym niżli tysiące zjadanych dziś pączków, choćby nawet z tak uprzywilejowanych cukierni jak: Loursa, Semadenich, Kwiecińskiego i innych. Zresztą, toć to przecie karnawał, pogoda sprzyja, sanki niewiele kosztują, a kiedy, o ile mi się zdaje, przestaliśmy się już bawić w owe zbytkowne, rujnujące a nierozsądne bale, stroje i wybryki, — wesoła przejażdżka po śniegu, dla tego kto może, nietylko że nie zawadzi, ale owszem bardzo jest pożądaną. Co zaś do balów, to jak wspomniałem, o ile mi się zdaje, Warszawa w tym karnawale, na początek wygląda jakoś poważniéj. I bardzo nam z tém do twarzy. Dzięki Bogu coraz mniéj słychać szału i nadużycia, a zabawy odbywają się bez skandalicznych rozgłosów, skromnie, po domowemu, jak tego wymaga rozsądek, takt i kieszeń. A gdyby nawet nie częstsze tańczące wieczory w obu Resursach, publiczne ogłaszania o *różnych nacjonalnych kostjumach* i kostjumowych zebraniach w Kaskadzie, w zakładach ogródkowych i innych na to specjalnie urządzonych miejscach, gdyby nie pączki i maskarady, które, mówiąc nawiasem, niebardzo jakoś są uczęszczane, to nie byłoby ani znaku że to karnawał.

Prowincja także podobno nie grzeszy zabawami. I nic w tém nie masz nadzwyczajnego. Brak kapitałów, pieniędzy, kredytu, ogólna bieda i wycieńczenie, każą się na serjo zastanawiać nad przyszłością i pilnie oglądać na niepewne jutro. A bal niemało kosztuje! Przytem, każdy zajętym będąc kwestją bytu i utrzymania, nie ma nawet czasu myśléć o zabawach i hucznych a drogich zgromadzeniach. Bo i prawdę powiedziawszy, z czego się tu dziś cieszyć i po czém balować?... Dawno już — dawno Baltazarowa ręka rzuciła nam pod nogi głośne napomnienie: Przestańcie! Ha, może też nareszcie choć z musu poczniemy żyć nie samą tylko fantazją, ale i rozumem. Dla tych zaś którzy koniecznie, jak ryba wody, potrzebują rozrywek, a rozrywek szlachetniejszych, Warszawa zawsze prawie niewyczerpane takowych posiada zasoby i to z małym stosunkowo kosztem, a z wielką nieraz dla publiczności korzyścią. Naprzykład, czy może być przyjemniejsze spędzenie czasu, jak zwiedzanie otwartéj codziennie Wystawy Towarzystwa Sztuk Pięknych, przeniesionéj w roku zeszłym do nowo-wyrestaurowanego gmachu, przy kościele po-Bernardyńskim, gdzie bilet wejścia kosztuje tylko, w niedziele i święta kopiejek 5, a w inne dnie kop. 15? A teatr, koncerta, przeplatane deklamacją, Gabinet Zoologiczny, otworzony bezpłatnie w niedziele i czwartki, ogródek i zabawki Freblowskie dla dzieci — czyż to wszystko nie zajmie, nie nauczy, nie rozerwie? A Muzeum anatomiczne, czasowo goszczącego u nas Präuschera, Menażerja Kreutzberga, pełna drapieżnych zwierząt—sądzę, bez uprzedzenia, że więcéj są warte w pojęciu ludzi rozsądnych, niż bezcelowe zbijanie bąków lub uganianie się za hulankami i awanturami. Chcącemu nic nie jest trudno. I bawić się można pożytecznie. Miłośnicy zaś przedstawień *gimnastyczno-akrobatycznych*, mogą się takowym dowoli napatrzéć w Alkazarze, przy ulicy Królewskiéj.

Z początkiem bieżącego roku, ruch literacki ożywił się nieco w Warszawie kilku nowemi wydawnictwami. I tak, oprócz rozpoczętego zbiorowego przedruku dzieł J. Korzeniowskiego, opuścił prasę pierwszy zeszyt *Muzeum Sztuki Europejskiéj*, zawierający w sobie 4 prześliczne ryciny, przedstawiające kopije najznakomitszych mistrzów malarstwa, wraz z dołączonym i objaśniającym je tekstem, nakładem Michała Glücksberga. Wydawnictwo to, wychodzące zeszytami co miesiąc, pod każdym względem zasługuje na gorące poparcie i rozpowszechnienie, tem bardziéj, że nizkością ceny dla wszystkich nieomal staje się przystępném.

Mucha, pismo dotąd zeszytowe, zamieniło się od nowego roku na tygodnik humorystyczny illustrowany, wydawany nakładem księgarni J. Kaufmana, Wydawcy *Świata Muzykalnego* i *Wojny w roku 1870*. Dwa pierwsze Numery *Muchy* mamy właśnie przed sobą i wydziwić się nie możemy... nieudolności jéj redakcji. Oprócz ołówka Kostrzewskiego, humoru nie ma w nich ani za grosz. Proste kpiny z publiczności, kazać sobie płacić za taką nędzotę, zapełnioną w dwóch kartkach rzeczami jałowemi i kurjerkowemi anonsami, rocznie w Warszawie rs. 3 kop. 60, a na prowincji rs. 4 kop. 80! Gdzież tu dowcip, werwa, śmiech, życie, ironja lub zabawa? Doprawdy, że *Momus* i *Wolne Żarty* pewnie się w grobie przewracają, a jeden Numer *Kurjera Świątecznego* więcéj wart niż cały nakład dotychczasowéj *Muchy*, tyle ogłaszanéj i zapowiadanéj. Z wielkiéj chmury mały deszcz. Wstępne wierszydło tego pisemka wyraża się wprawdzie, że *dobra psu i Mucha*. Za pozwoleniem. Przedewszystkiem nazwanie publiczności *psem*, jest czemś większém niż niedelikatnością — jest ubliżeniem. Co się zaś tyczy *dobroci Muchy* dla *psa*, to także wielkie pytanie, czy nawet tak *wygodne* zkądinąd przysłowie da się tu zastósować? Są *muchy* i *muchy!* Są takie które psom smakują, a są też i takie których sam pies jeść nie chce i wypluwa je ze wstrętem... Jakiż więc cel téj publikacji? Może rozgłaszanie *plotek* brukowych? Gdzie tam! Pod tym względem daleko już sprytniejszemi są stare dewotki niż niefortunna *Mucha*, obrzucająca, na samym początku, błotem paszkwilu kilka mających uznanie Warszawskich wydawnictw, równając je z takiém naprzykład śmieciem jak: *Świat Duchów*, *Barbara Ubryk* i *Tajemnice dworu Madryckiego*. Z początku podobny sąd trochę nas zadziwił, ale bacząc, że każda *mucha* małą bardzo ma głowę i edukację odbiera w kuchni, postanowiliśmy sobie nadal nie dziwić jéj się wcale, a płody jéj przechowywać jako wzór niewidzianéj jeszcze dotąd mierności i słoboty.

Przegląd Tygodniowy w dalszym ciągu wydawnictwa „Wiedzy“ obdarzył nas dwoma wielu pożytecznymi zeszytami: 1) *O rozwoju stowarzyszeń handlowych*, przez Endemanna professora w Jena, 2) *Ludzka i małpia czaszka*, odczyt Rudolfa Virchowa. Zeszyt ten zakończa pierwszą serję powyższego wydawnictwa.

Nie wiem czy wszyscy czytelnicy nasi wiedzą o wychodzącéj w Warszawie *Bibliotece Rzemieślnika Polskiego*. Jeżeli nie, to poczytuję sobie za konieczny obowiązek zawiadomić ich o tem, jako o rzeczy niezmiernie obchodzącéj ogół, i objaśnić, że we wspomnianéj Bibliotece ukazały się już dotąd następujące, godne nabycia i czytania prace: 1) *Przewodnik dla Garbarzy*, ułożony przez A. Rogalewicza. 2) *Przewodnik dla kowali*, przez Aleksandra Miecznikowskiego. 3) *Przewodnik dla Giserów*, przez Aleksandra Miecznikowskiego. 4) *Przewodnik dla Stolarzy*, przez Jana Heuricha. 5) *Przewodnik dla Ślusarzy*, przez Jana Pietraszka, i 6) niedawno dopiero co wyszły *Przewodnik dla Cieśli*, przez Jana Heuricha. Za granicą podobne dzieła, jako fachowe, cieszą się niezmiernym pokupem i popularnością. Dla tego też widzimy tam tylu rzemieślników ukształconych, znających się dobrze na swoim przedmiocie, pojmujących postęp i ciągłe doskonalenie się wraz obranym, a ważnym dla społeczeństwa zawodzie, jakim jest rzemiosło. Spodziewam się że i u nas panowie majstrowie i czeladnicy, nie chcąc być gorszymi od nich, nie pozwolą aby książki, umyślnie pisane i drukowane dla nich, jakby na wstyd, leżały bezpożytecznie na pułkach księgarskich.

Z nowości literackich uważamy za stósowne wymienić tu jeszcze następujące utwory: *Przemysł Królestwa* na Wszechrossyjskiéj przemysłowéj wystawie Cesarstwa w Petersburgu roku 1870, opracowany przez Fr. Krajewskiego.—*Historja Prawa Karnego Ruskiego*, ze źródeł opracowana przez Romualda Hubego, Tom I-szy, część pierwsza.—*Łzy i uśmiechy*, poezje Antoniego Kolankowskiego.

Nie od rzeczy będzie tu także wiadomość, że *Kaliszanin* od nowego bieżącego roku powiększył swój format—a Redaktorem obu *Warszawskich Dzienników*, został profesor literatury rossyjskiéj, w Uniwersytecie Warszawskim, P. Weinberg.

Przy zupełném prawie w Poznańskiém upadku mecenasostwa czyli opiece możnych nad naukami i sztukami pięknemi, z prawdziwą przyjemnością przychodzi nam czytelnikom donieść, że Hr. Bolesław Potocki z Bendłkowa zapisał testamentem na rzecz teatru polskiego w Poznaniu, dom ze wspaniałym ogrodem, znajdujący się w tém mieście. W celu założenia stałego teatru w Poznaniu, powstało Towarzystwo z kapitałem 60,000 talarów, mającym się zebrać przez wypuszczenie 1,200 akcyj, po 50 talarów. Życzymy z serca pomyślnego rezultatu temu przedsięwzięciu, bo rzeczywiście w każdém większém mieście teatr znakomite umysłowe i towarzyskie przynosi mieszkańcom korzyści. U nas w Królestwie, oprócz Warszawy, mamy 8 towarzystw dramatycznych prowincjonalnych, a mianowicie: 1) pod zarządem p. Aleksandra Carmantranta w m. Łodzi, 2) Edwarda Kołakowskiego w Kielcach, 3) Konstantego Łobojki w Piotrkowie, 4) Henryka Modzelewskiego, niewiadomo gdzie, 5) Jana Okońskiego w Olku-

szu, 6) Pawła Ratajewicza w Lublinie, 7) Feliksa Stobińskiego w Łomży, 8) Anastazego Trapszy w Kaliszu.—Kiedy już mowa o sztuce, nie będzie nam to zapewne poczytaném za grzech, jeżeli z teatru przeskoczymy do rzeźby, choćby tylko przez konieczność uwydatniającéj się w jedném i drugiém plastyki.... Otóż godném jest zanotowania, że p. J. Brzostowski rzeźbiarz, wezwanym będąc do Książnic pod Koszycami, w gubernji Kieleckiéj, dla wykonania cymborium w stylu gotyckim, skoro tylko zbliżył się do ołtarza, poznał iż ten, pomimo różnych zmian, jest dziełem znakomitego naszego mistrza Wita Stwosza (Stosa), twórcy ołtarza Maryackiego w Krakowie i wielu innych arcydzieł z XV wieku, słynnych nietylko u nas w kraju ale i w całéj Europie. Jeżeli wiadomość ta okaże się prawdziwą, to kościół w Książnicach słusznie powinien się chlubić z posiadania drogiéj nam pamiątki i nieoszacowanego wartością skarbu, którego nawet niejedna pyszna katedra pozazdrościćby mu mogła. Dłuto Wita Stwosza, to jedyny a świetny i imponujący znak, niby północna zorza, na jak wysokim stopniu stała u nas w XV stuleciu sztuka rzeźbiarska. Niemcy, aby go posiadać, wyłupili mu w Norymberdze oczy. My zaś, starajmy się przynajmniéj jego prace wydobywać z kurzu zapomnienia, a wydobyte odnawiać i otaczać jak największą pieczołowitością, boć to nasze perły i brylanty, które coraz bardziéj giną i nikną, kruszone zębem nieubłaganego czasu. Czas to pieniądz, mówią ekonomiści. Bez wątpienia. Ale czas to także i najstraszniejszy wróg człowieka. Wyrywa on zarówno po wandalsku z pośród nas, tak dzieła sztuki— jak i samych ludzi.

Swieżo mamy znów tego kilka smutnych przykładów:

Ludwik Zejszner uczony nasz naturalista, dnia 3 bieżącego miesiąca został zamordowany w Krakowie, na łóżku, we własném mieszkaniu, przez swego służącego, który tegoż samego dnia znikł gdzieś bez wieści. S. p. Ludwik, zasłużony geolog, mineralog i paleontolog, urodził się w Warszawie r. 1807, kształcił się w ówczesnym tutejszym uniwersytecie, a potem w Berlinie i Getyndze. Pisał bardzo wiele po polsku, po francuzku i po niemiecku. Dokładne wyliczenie prac jego znaleść można w *Encyklopedji Powszechnéj*, w Tomie 27. Wiele rozpraw Zejsznera umieszczała *Biblioteka Warszawska* i *Roczniki Towarzystwa Naukowego Krakowskiego*. Od roku 1829 — 1833 był profesorem uniwersytetu Jagiellońskiego, następnie dyrektorem górnictwa Krakowskiego, a w latach 1857 i 1858 wykładał czasowo Mineralogją w Warszawskiéj Akademij Medycznéj. Obarczony wiekiem i słabością w nogach, szukając zacisza w pracy domowéj, przed kilku zaledwie miesiącami wyjechał do Krakowa. Morderca został już dnia 7 b. m. przytrzymany w Pleszewie, w W. Ks. Poznańskiém, przy sprzedaży złotego łańcuszka—i przyznał się do winy.

Karól Władysław Zap, znany pisarz czeski, umarł dnia 1 b. m. Urodził się d. 8 Stycznia 1812 r. w Pradze. Mieszkając półdziewięta roku we Lwowie, obznajmił się z literaturą polską, z któréj prócz rzeczy pomniejszych, przetłumaczył na język czeski: „Koliszczyznę i stepy“ Grabowskiego. (Praga 1851 roku). Ożenił się z Honoratą z Wiśniewskich, która po nauczeniu się po czesku, zasłynęła jako autorka „Niezabudek.“ Z wielu prac Zapa najwięcéj przyniosła mu wziętości illustrowana: „Kronika Czesko-Morawska.“

Otrzymaliśmy także wiadomość, iż niedawno zmarł w Wenecji ś.p. *Duniecki*, autor operet: „Paziowie Marysienki“ — „Odaliski“ — „Pokusa“ i innych.

Dnia 12 b. m. o godzinie 3-éj po południu, przeprowadzone zostały na cmentarz Powązkowski zwłoki *wdowy po Stanisławie Jachowiczu*, *Antoniny* z Ośniałowskich, zmarłéj w 65 roku życia. Jako towarzyszka prac znanego nam powszechnie kierownika dziatek, ś. p. Antonina przez cały swój żywot szła w pomoc mężowi, tak na polu dobroczynności, jako też i na polu piśmiennictwa dla młodocianego wieku, obdarzając nas takimi np. utworami jak: *Pierwsze nauki dla Tadzia*, *Przewodnik moralności praktycznéj* i t. d. Liczne grono przyjaciół, odprowadziło zwłoki jéj z rozrzewnieniem na miejsce wiecznego spoczynku.

Cóż więcéj nad to mamy czytelnikom dodać? Znalazłoby się, co prawda, niemało jeszcze rzeczy do opowiedzenia, ale obawiając się żeby nam ktoś nie zarzucił długości niemieckiego kazania, zakończamy niniejszą Wiązankę, jak zwykle się dzieje....kropką.

△

FRASZKA.

BONUŚ W TAŃCU.

Pomysł i rysunek Leona Kunickiego.



Nr. 1 Zamówiwszy damę do Kadryla, Bonuś dla dobrego tonu spóźnia się trochę.



Nr. 2. W pierwszéj figurze gubi swą damę i błąka się pomiędzy parami, jak Marek po piekle.



Nr. 3. Ale znalazłszy wreszcie swoję tanecznicę, jakże wdzięczne robi *balancé!*..



Nr. 4. W trzeciéj figurze Bonuś jest zachwycający—jakby od trzech dni nic nie jadł.

(*Dok. nast.*)

Wydawca, Mieczyński Adam. — Дозволено Цензурою, 8 (20) Января 1871 г. — Redaktor, Stanisławski Oskar.

W Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. *b*.